

Frederik Pohl

Pięć piekieł Oriona

(The Five Hells of Orion)

Worlds of If Science Fiction, January 1963
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

© Public Domain

This text is translation of the novelette "The Five Hells of Orion" by Frederik Pohl, first publication in Worlds of If Science Fiction, January 1963, published by Project Gutenberg, February 11, 2020 [EBook #61380].

According to the included copyright notice:

"This etext was produced from Worlds of If Science Fiction, January 1963. Extensive research did not uncover any evidence that the U.S. copyright on this publication was renewed.".
It is assumed that this copyright notice explains the legal situation in the United States. Copyright laws in most countries are in a constant state of change. If you are outside the United States, check the laws of the appropriate country.

Copyright for the translation is transferred by the translator to the Public Domain.

Całą kolekcję tłumaczonych przeze mnie utworów SF znaleźć można pod adresem:
http://archive.org/search.php?query=subject%3A%22WB_kolekcja%22&sort=-publicdate

I

Nazywał się Herrell McCray i był przerażony.

Potrafił jedynie powiedzieć, że znajduje się w jakimś pomieszczeniu nie większym niż cela więzienna. Być może była to właśnie cela więzienna. Cokolwiek by to nie było, jego nie powinno tu być; pięć minut wcześniej, był w kosmosie, w Dalekim Skoku z Ziemi do kwitnących kolonii okrążających Betelgeuse Dziewięć. McCray pełnił funkcję nawigatora statku, opracowywał korekty kursu – nie to, żeby kiedykolwiek były one potrzebne; ale powodem tego że nie były, był fakt, iż kontrole wykonywane były co godzinę przez cały długi lot. Odczytywał kąty azymutu z dalmierzy komputerowych, automatycznie namierzał na odpowiednie gwiazdy nawigacyjne i stwierdzał, że ich położenie było poprawne; następnie z długoletniego nawyku, wizualnie potwierdzał wskazania mechanizmu namierzającego. To była tylko jego osobista skrupulatność; robił to już tysiące razy. I kiedy patrzył na Betelgeuse, Rigela i Saifa... to się stało.

Pomieszczenie było zupełnie ciemne i wydawało się, że jest pełne jakichś twardych, ostrych, lepkich i kanciastych przedmiotów, o różnych kształtach i o wielu bardzo niedogodnych rozmiarach. McCray potknął się o coś, co zaplątało mu się pod nogami i upadł na coś, co pusto zastukotało. Pozbierał się jakoś, opierając się o coś, co śmierdziało niebezpiecznie związkami halogenowymi, i zadrapał sobie ramię, nawet przez kosmiczną tunikę, o coś co wibrowało kiedy tego dotykał.

McCray nie miał pojęcia, gdzie jest, i nie było sposobu, aby się tego dowiedzieć.

Pograżony był nie tylko w ciemności, ale także w zupełnej ciszy. Nie. W ciszy, nie tak zupełnej.

Gdzieś, na samej granicy zasięgu zmysłów, rozlegało się coś w rodzaju głosu. Nie do końca go słyszał, ale on tam był. Siedział starając się nie ruszać, jak tylko mógł, nasłuchując; dźwięk pozostawał nieuchwytny.

Prawdopodobnie było to tylko złudzenie.

Ale samo pomieszczenie było faktem ewidentnym. McCray zaklął gwałtownie i głośno.

To wszystko było szalone i niemożliwe. Po prostu nie było sposobu, aby nagle przeniósł się z ciepłej, jasnej kabiny nawigatora na *Statku Kosmicznym Jodrell Bank*, do tej cholernej ciemnej, ponurej dziury w miejscu, w którym wszystko go raniło i nic nie wyjaśniało, tego co się dzieje. Zawołał z irytacją:

— Gdybym tylko mógł widzieć!

Potknął się i upadł na coś, co było miękkie, śluzowate i, jak surowe ciasto, nie stawiało żadnego oporu.

Pojawiła się migotliwa aureola różowawego światła. Zaskoczony usiadł. Patrzył na coś, co przypominało średniowieczną zbroję.

Byla to, jak zobaczył w jednej chwili, nie zbroja, ale skafander kosmiczny. Ale co to było za światło? I czym były te inne rzeczy w pomieszczeniu?

Gdziekolwiek spojrzął, światło przesuwalo się wraz z jego wzrokiem. Sprawialo to wrażenie widzenia tunelowego albo kłapek koło oczu. Mógł widzieć to na co bezpośrednio patrzył, ale nic więcej. A rzeczy, które widział, nie miały sensu. Skafander kosmiczny, tak; wiedział, że bez trudu mógłby sklecić jakieś logiczne wytłumaczenie dla jego obecności – może meteoryt podprzestrzenny uderzył w *Jodrell Bank*, eksplozja, która go wyrzuciła i przyniosła tutaj w skafandrze... no cóż, było to wyjaśnienie z większą liczbą dziur niż w serze szwajcarskim, raczej przypominające sieć rybacką, ale przynajmniej było ono racjonalne.

Ale jak wyjaśnić obecność kompletu tomów *Zmierzchu i upadku Cesarstwa Rzymskiego*, Gibbona? Kosmicznego toporka? Czy też staromodnego dziecięcego fotelika bujanego, zestawu chemicznego, a przede wszystkim kawałka barwnie nadrukowanego materiału, który gdy go podniósł, okazał się być skąpym dziewczęcym kostiumem kąpielowym? McCray pomyślał, że nieco uspokajająca jest obserwacja, iż większość z tych rzeczy była mu mniej lub bardziej znajoma. Nawet dziecięcy fotelik – przecież on sam miał mniej więcej podobny, kiedy jeszcze był za mały aby iść do szkoły. Ale co one robiły tutaj?

Nie wszystko, co widział, było znajome. Ściany samego pomieszczenia były jakieś dziwne. Nie były z metalu, gipsu, ani sękatego drewna sosnowego; nie były wytapetowane, ani pomalowane, czy też pokryte sztukaterią. Wydawały się być zbudowane z jakiegoś twardego związku organicznego, być może z tworzywa sztucznego lub przetworzonej celulozy. W różowawym świetle trudno było określić ich kolor. Ale wydawały się nie mieć żadnego. Były „neutralne” – jak kolor starzejącego się drewna z odzysku lub niebielonej tkaniny.

Tak wyglądały trzy ściany, podłoga i sufit. Czwarta ściana, to zupełnie co innego. Był na niej fragment, który wyglądał jak kratka; to z niej wydobywał się ostry, nieprzyjemny zapach halogenów. Mogły to być wentylatory, pomyślał; ale jeśli tak, to powietrze przez nie wdmuchiwane, było gorsze niż to, które już miał.

McCray zaczął czuć się nieco pewniej. Zdziwiał, jak odrobina światła sprawiła, że ta nieprawdopodobna sytuacja stała się znośna, jak szybko jego odwaga napłynęła z powrotem, kiedy znowu mógł coś zobaczyć.

Stał bez ruchu, myśląc. Fakt: jeszcze zupełnie niedawno – subiektywnie wydawało mu się, że minęły zaledwie minuty – znajdował się na pokładzie *Jodrell Bank*, z głową wypełnioną myślami wyłącznie o dokończeniu kontroli kursu i spotkaniu przy kawie, z jedną z pasażerek płci żeńskiej. Kolejny fakt: poza tym, że był zszokowany i – przyznawał to – wystraszony, cholernie, prawie na śmierć, to jak się wydawało, kompletnie nic mu się nie stało. Fakt trzeci: niezależnie od tego

gdziekolwiek byłby obecnie, istotne było nie tyle to co przydarzyło się jemu, ale co się stało ze statkiem?

Pozwolił, by ta myśl wniknęła w jego umysł. Załóżmy, że na *Jodrell Bank* doszło do jakiegoś wypadku.

Mógł, oczywiście, być martwy. Wszystko co go otacza, mogą to być fantazje stygnącego mózgu.

McCray uśmiechnął się szeroko, w różowej ciemności. Ta myśl jakoś odświeżyła mu umysł, niczym lodowata woda w przerwie między rundami, i z jaśniejszą głową przypomniał sobie, do czego jeszcze mógł mu się przydać skafander kosmiczny.

Było w nim radio.

Pociągnął za naszywki rozpinające, wsunął dłoń w puste wnętrze skafandra i wyciągnął z niego ręczny mikrofon.

— Tu mówi Herrell McCray — powiedział, — wzywam *Jodrell Bank*.

Brak odpowiedzi. Zmarszczył brwi.

— Tu mówi Herrell McCray, wzywam *Jodrell Bank*.

— Herrell McCray, wzywa kogokolwiek, odpowiedzcie, proszę.

Ale odpowiedzi nie było.

Z namysłem odłożył mikrofon. Było to radio ultrafale, nieco ponad milion razy szybsze od światła, o zasięgu mierzonym co najmniej w setkach lat świetlnych. Jeśli nie było odpowiedzi, to musiał być daleko od jakiegokolwiek miejsca.

Oczywiście to urządzenie może nie działać.

Znów sięgnął po mikrofon...

Głośno krzyknął.

Różowawe światła zgasły. Znowu był w ciemności, gorszej ciemności niż wcześniej.

Ponieważ zanim zgasło światło, McCray dostrzegł coś, co wcześniej umknęło jego uwadze. Skafander i mikrofon widział w różowawym blasku dosyć wyraźnie; ale dłoni – swojej własnej dłoni, trzymającej mikrofon – nie widział w ogóle. Ani ramienia. Ani, jak stwierdził w jednym przelotnym, kontrolnym rzucie oka, swojej klatki piersiowej.

McCray nie widział w ogóle żadnej części własnego ciała.

II

Ktoś inny, jednak widział.

Ktoś obserwował Herrella McCraya z kliniczną fascynacją biochemika obserwującego poruszenia się pantofelka w nowym antybiotyku – albo z wymodlonymi nadziejami głodującego rozbitka, żeglarza, obserwującego podskakującą na falach beczkę, która mogła zawierać jedzenie.

Powiedzmy, że nazwiemy go „Hatcher” (i przypuśćmy, że określimy go jako „on”). Hatcher nie był tak dokładnie mężczyzną, ponieważ jego rasa nie posiadała prawdziwych mężczyzn; ale posiadała kobiety, i na pewno nią nie był. Hatcher pod żadnym względem nie wyglądał jak istota ludzka, ale miał z nią pewne wspólne cechy.

Gdyby Hatcherowi i McCrayowi udało się w jakiś sposób nawiązać kontakt, mogliby się całkiem dobrze dogadać. Hatcher, podobnie jak McCray, był odważną istotą, młodą, zdolną, dobrze wykształconą w naukach technicznych swojej cywilizacji. Obaj lubili gry – McCray baseball, poker i trójwymiarowe szachy; Hatcher wiele sportów, które umykały ludzkiemu opisowi. Obaj zajmowali dosyć ważne pozycje – biorąc pod uwagę ich wiek – w życiu swoich światów.

Fizycznie nie byli do siebie podobni. Hatcher był trzystopową sferą galarety, otoczonej twardą skorupą. Miał „ręce” i „nogi”, ale nie były one organicznie związane z jego osobą. Były to węzowate obiekty, które słuchały rozkazów jego mózgu, tak jak nasz umysł sprawia, że zakrzywiamy palce u nóg; ale bezpośrednio go nie dotykały. Prawdę mówiąc, działały one równie dobrze z odległości jarda lub ćwierci mili, jak wtedy, gdy, z rzadka, spoczywały w szczelinach, z których wyłaniały się z jego „skóry”. Na większych odległościach działały już gorzej, z przyczyn niezwiązanych z prawem odwrotności kwadratu.

Głównym zadaniem Hachtera, w tej chwili, było kierowanie „zespołem sondującym”, który obserwował McCraya, i był bardzo podekscytowany. Jego członki, porzucane były po pomieszczeniu, gdzie powysyłał je w różnych sprawach, drżały i lekko się trzęsły; a jednak i tak były to najspokojniejsze kończyny w tym miejscu; członki innych pracowników zespołu były w stanie gwałtownego zamieszania.

Zespół sondujący doznał szoku.

— Moce paranormalne — mruknął zastępca Hachtera, a pozostali wymamrotali swoją zgodę. Hatcher nakazał ciszę, badając okaz z Ziemi.

Po dłuższej chwili odwrócił zmysły od Ziemianina.

— Niewiarygodne – ale to prawda — powiedział. — Lepiej o tym zamelduję. Obserwujcie go — dodał, chociaż z pewnością nie było to konieczne.

Ich pracą było obserwowanie McCraya, a oni wykonali swoją robotę; a nawet więcej, żaden z nich nie mógł odwrócić wzroku, aby uratować życie przed widokiem stworzenia tak dziwnego i, z ich punktu widzenia, ohydnie obcego, jak Herrell McCray.

Hatcher pospieszył korytarzami wielkiej zagrzebanej w ziemi budowli, w której pracował, w kierunku miejsca, gdzie rada nadzorująca wszystkie sondy obradowała w trybie permanentnej sesji. Natychmiast go przyjęli.

Hatcher zidentyfikował się i przedstawił szybki, zwięzły raport:

— Niedawno podmiot odzyskał przytomność i zaczął badać swoje otoczenie. Jego metoda polegała na doprowadzaniu swoich członków do fizycznego kontaktu z różnymi przedmiotami w otoczeniu. Po obserwacji przez pewien czas jak to robi, stwierdziliśmy, że może nie jest w stanie widzieć, więc oświeciliśmy dla niego pole widzenia.

— Przez pewien czas wydawało się to działać dobrze. Wyglądał na względnie uspokojonego. Potem jednak powrócił do kontaktu fizycznego,

manipulując niektórymi akcesoriami sztucznej skóry, które mu dostarczyliśmy.

— Następnie zaczął wprawiać w drgania powietrze, za pomocą organów rezonansowych w swoim kanale oddechowym.

— Jednocześnie odkryliśmy, że trzymany przez niego obiekt, przyczepiony do sztucznej skóry, wytwarza siły paranormalne.

Rada nadzorująca zakołysała się z podniecenia.

— Jesteś pewien? — zaczął dopytywać się jeden z członków rady.

— Tak, proszę pana. Personel przygotowuje teraz opis techniczny tych sił, ale mogę powiedzieć, że są to drgania elektromagnetyczne modulujące falę nośną o bardzo wysokiej prędkości, a one z kolei modulowane są przez drgania atmosfery wywołane przez własny oddech podmiotu.

— Fantastycznie — westchnął członek tonem wzbierającej nadziei. — A co z komunikacją z nim, Hatcher? Jakież postępy?

— No cóż... niewielkie, proszę pana. Nagle wpadł w panikę. Nie wiemy, dlaczego; ale pomyśleliśmy, że lepiej się wycofamy i pozwólmy mu wrócić do normy.

Rada naradzała się przez chwilę, Hatcher czekał. To nie był dla niego czas naprawdę stracony; biorąc pod uwagę narządy, które zostawił w pomieszczeniu zespołu sondującego, był w dość bliskim kontakcie z tym, co się tam działo – wiedział, że McCray po raz kolejny potykał się wśród obiektów w ciemności, wiedział, że członkowie zespołu jeszcze raz próbowali oświetlić dla niego na krótko pomieszczenie i znowu wywołało to atak paniki.

Mimo to Hatcher się martwił. Chciałby już tam wrócić.

— Przestań się wiercić — rozkazał nagle przewodniczący rady. — Hatcher, musisz natychmiast nawiązać z nim komunikację.

— Ale, proszę pana... — Hatcher podszedł bliżej, jego gruba skóra lekko drżała; pewnie by zaczął gestykulować, gdyby zabrał ze sobą członki, aby mogły wykonać jakiś gest. — Zrobiliśmy wszystko, na co mogliśmy się odważyć. Uczyniliśmy to miejsce dla niego jak najbardziej podobne do domu — właściwie to, co powiedział, brzmiało bardziej jak „ogrzailiśmy dla niego biofizyczne niuanse jego otoczenia...” — i próbowaliśmy odgadnąć jego potrzeby; przeraziliśmy go tylko niemal na śmierć. Nie możemy poruszać się szybciej. To stworzenie w niczym nas nie przypomina, wie pan przecież. W swoim życiu polega na siłach paranormalnych – ciepłe, światło, energii kinetycznej. Jego chemia jest inna niż nasza, jego procesy myślowe są inne niż nasze, cały jego organizm jest bliższy nieożywionym skałom morskiego dna, niż nam.

— Zrozumiałem, Hatcher. W swoim pierwszym raporcie stwierdziłeś, że te stworzenia są inteligentne.

— Tak, proszę pana. Ale nie na nasz sposób.

— Ale na jakiś sposób tak, i ty musisz ten sposób poznać. Wiem. — Jeden z organów w kształcie pazura homara zbliżył się do ciała przewodniczącego i uniósł się w geście napomnienia. — Chcesz więcej czasu. Ale my nie mamy czasu, Hatcher. Twój zespół nie jest jedynym zespołem sondującym, który działa. Zespół Mas Centralnych właśnie przedstawił bardzo alarmujący raport.

— Czy zabezpieczyli jakiś podmiot — zapytał Hatcher z zazdrością.
Radny przerwał.

— Gorzej, Hatcher. Obawiam się, że ich podmioty zabezpieczyły jednego z nich. Jeden z nich zaginał.

Zapadła chwila ciszy. Stojący bez ruchu Hatcher mógł tylko czekać. Cała sala rady zastygła jak obraz w muzeum, czekając aż przewodniczący ponownie się odezwie; każdy z członków rady stał tam gdzie stał, a jego członki unosiły się wokół niego.

W końcu przewodniczący oznajmił:

— Myślę, że mówię za nas wszystkich. Jeśli Pradawni schwytali jednego z naszych sondujących, nasz margines czasu znacznie się zawęził. Prawdę mówiąc, możemy nie mieć już czasu w ogóle. Musisz zrobić wszystko, co się da, w celu nawiązania komunikacji ze swoim podmiotem.

— Ale niebezpieczeństwo dla okazu... — automatycznie zaprotestował Hatcher.

— ...nie jest większe — wszedł mu w słowo przewodniczący — niż niebezpieczeństwo dla każdego z nas, jeśli nie znajdziemy teraz sojuszników.

Hatcher wrócił ponuro do laboratorium.

Wyglądało na to, że rada przykręcała im śruby; znani byli z tego że wymagali wyników za wszelką cenę – nawet kosztem zniszczenia jedynej rzeczy jaką mieli, która umożliwiała im osiągnięcie tych wyników.

Hatcherowi nie podobał się pomysł narażania Ziemianina na niebezpieczeństwo. Nie można powiedzieć, że był zaangażowany emocjonalnie; to nie litość ani współczucie sprawiały, iż żałował zagrożeń związanych ze zbyt szybkim dążeniem rady do nawiązania komunikacji. Nawet Hatcher nie do końca radził sobie z odrażającymi fizycznymi różnicami pomiędzy Ziemianinem a jego własnym ludem. Ale Hatcher nie chciał, żeby okaz uległ zniszczeniu. Sprowadzenie go tutaj było dosyć trudne.

Hatcher sprawdził członki, które zostawił wraz z resztą swojego zespołu, i stwierdził, że nie było żadnej bezpośredniej sytuacji kryzysowej, więc poświęcił trochę czasu na jedzenie. W rasie Hachera dokonywano tego w sposób, nie do końca przyjemny dla Ziemian. W dolnej półkuli jego ciała otworzyła się podobna do torebki szczelina, wypuszczając rzadki, śluzowaty, cuchnący płyn, który Hatcher złapał i wlał do zlewu na odpady, z boku jadalni. Następnie napchał szczelinę papkowatymi roślinami o teksturze wodorostów; zamknęła się, a jego ciało otrzymało porcję pokarmu na kolejny dzień.

Szybko powrócił do pomieszczenia.

Jego zastępca był zajęty, ale jeden z pozostałych pracowników zespołu zameldował – że nie wydarzyło się nic nowego – i zapytał o wystąpienie Hachera przed radą. Hatcher zignorował to pytanie. Rozważał poinformowanie swojego personelu o zniknięciu członka zespołu Mas Centralnych, ale postanowił tego nie robić. Nie powiedziano mu, co

prawda, że to jest tajemnica. Z drugiej strony również, nie powiedziano mu, że nie jest. Lepiej było nie plotkować o czymś tak ważnym. Przez niezliczone pokolenia, nad jego rasą wisiło zagrożenie ze strony Pradawnych, tych dziwnych, niemal mitycznych istot z Mas Centralnych galaktyki. Jedno zetknięcie z nimi, w minionych wiekach, niemal zniszczyło lud Hatchera. Dopiero uciekając i ukrywając się, zwabiając prześladowców na jedną ze swoich planet i porzucając ją – wraz z ludnością – jako przynętę, w ogóle udało im się przetrwać.

Teraz, wykryli wyprawy kartograficzne Pradawnych, niebezpiecznie blisko spiralnego ramienia galaktyki, w którym umiejscowiona była ich planeta. Uruchomili więc program Zespołów Sondujących, aby znaleźć sposób na ich pokonanie lub ponowną ucieczkę.

Jednak obecnie wydawało się, że same zespoły sondujące mogły zdradzić ich istnienie wrogom...

— Hatcher!

Wezwanie było pilne; pospieszył, żeby zobaczyć o co chodzi. To był jego zastępca, bardzo podekscytowany.

— Co się stało? — zapytał Hatcher.

— Czekaj...

Hatcher zachował cierpliwość; znał dobrze swojego asystenta. Oczywiście coś się miało zaraz wydarzyć. Poświęcił chwilę, aby przywołać z powrotem swoje członki, musiały się najeść; wycofały się do nisz w jego skórze, przylgnęły do szczątkowych szczelin, przelały swoje odpady do jego krążenia i pochłonęły to, czego potrzebowały z posiłku, który właśnie pobrał...

— Teraz! — zawołał asystent. — Popatrz!

Na czymś, co wśród ludu Hatchera służyło za konsolę widokową, utworzył się obraz. Właściwie to sam asystent go uformował, a nie elektrony katody czy rzutowany cień; ale pokazał on, co miał pokazać.

Hatcher był zaskoczony.

— Jeszcze jeden! I... czy to jest jakiś inny gatunek? Czy tylko inna płeć?

— Sam przebadaj próbkę — zaprosił asystent.

Hatcher popatrzył na niego lodowato; w końcu jego cierpliwość nie była niewyczerpana.

— Nieważne — stwierdził w końcu. — Wprowadźcie tego drugiego do środka.

A potem, wpadając w zupełnie inny nastrój:

— Możemy go bardzo potrzebować. Może będziemy musieli zabić tego pierwszego.

— Zabić go, Hatcher?

Hatcher wstał i otrząsnął się, jego bezmyślne członki odleciały jak odpędzone od sutków szczeniaki.

— Rozkazy Rady — oznajmił. — Mamy natychmiast przejść do drugiego etapu projektu.

III

Zanim rozpoczął się drugi etap, albo zanim Herrell McCray zdał sobie sprawę z tego, że się rozpoczął, poczuł przypływ natchnienia.

Ciemności były kompletne, ale przypomniał sobie, gdzie jest skafander, dotarł do niego po omacku, i tak, skafander miał to, co musiały mieć wszystkie skafandry. Miał reflektor. Znalazł przełącznik, który go włączał, i nacisnął.

Światło. Białe, jaskrawe, ziemskie światło, w którym widać było wszystko – także i jego samego.

— Dzięki Bogu — powiedział, niemal z radością. Czymkolwiek była ta różowawa, tańcząca aureola, nieźle go nastraszyła; teraz, kiedy znów zobaczył swoją rękę, mógł za tamto, winić dziwne skutki jakichś nieznanych właściwości obcego światła.

W tej samej chwili usłyszał kliknięcie, które było początkiem drugiego etapu.

Wyłączył światło i stał przez chwilę, nasłuchując.

Przez sekundę czy dwie, wydawało mu się że słyszy odległy głos, cichy, spokojny i prawie zrezygnowany, który wyczuł wiele godzin temu; ale potem głos zniknął. Coś jeszcze zniknęło. Jakiś cichy mechaniczny dźwięk, który ledwie rejestrował przez chwilę, ale niewątpliwie. A w zamian, może, pojawił się nowy przyjemny dźwięk, którego wcześniej nie było słychać; bardzo słabe, prawie niesłyszalne elfie syczenie.

McCray zapalił światło i rozejrzał się. Wydawało się, że nic się nie zmieniło.

A jednak, z pewnością zrobiło się tu cieplej.

Nie widział różnicy; ale chyba, pomyślał, udało mu się ją poczuć nosem. Nieprzyjemny zapach halogenu z kratki był teraz z pewnością silniejszy. Stał w miejscu zakłopotany.

Z hełmu skafandra kosmicznego odezwał się ostrym, zdumionym tonem, słaby, cichy głos:

— McCray, czy to ty? Skąd u diabła nadajesz?

Zapomniał o zapachu, dźwięku oraz temperaturze, i skoczył w stronę skafandra.

— Tu Herrell McCray — zawołał. — Jestem w jakimś pomieszczeniu, najwyraźniej na planecie o masie zbliżonej do ziemskiej. Nie wiem...

— McCray! — zawołał cichy głos w jego uchu. — Gdzie jesteś? Tu mówi *Jodrell Bank*. Odpowiedz, proszę!

— Odpowiadam, do cholery — ryknął. — Co tak długo?

— Herrell McCray — tętnił cichy głos w jego uchu, — Herrell McCray, Herrell McCray, tu *Jodrell Bank*, odpowiadamy na twoją wiadomość, proszę potwierdzić. Herrell McCray, Herrell McCray...

Mówił i mówił.

McCray wziął głęboki oddech i zaczął myśleć. Coś było nie tak. Albo go nie słyszeli, co oznaczało, że radio nie nadaje, albo... nie. To nie to; słyszeli go, bo odpowiadali. Ale zajęło im to tak długo...

Nagle jego twarz zrobiła się biała. Zajął im to tak długo! Cofnął się w myślach, analizując fakty, nie będąc w stanie zmierzyć się z ich implikacjami. Kiedy to ich wywoływał? Dwie godziny temu? Trzy?

Czy to oznaczało – czy mogło to oznaczać – że opóźnienie wynosiło godzinę lub dwie w każdą stronę? Czy to, na przykład, oznaczało, że przy prędkości osiągananej przez paradio jego skafandra, miliony razy większej od światła, przesłanie wiadomości na statek i z powrotem zajęło godziny?

A jeśli tak... to gdzie on, w imię Boskie, był?

Herrell McCray był nawigatorem, to znaczy że był człowiekiem, który nauczył się bardziej ufać dowodom oferowanym przez matematykę i odczyty instrumentów, niż domysłom swojego „zdrowego rozsądku”. Kiedy na *Jodrell Bank*, pędząc między gwiazdami szybciej niż światło, dokonywał regularnej kontroli pozycji, zdrowy rozsądek dawał fałszywe wskazówki. Światło dawało fałszywe wskazówki. Wzrok był narzędziem godnym zaufania tylko kiedy patrzyło się bezpośrednio w przód i bezpośrednio w tył – czasami nawet i wtedy nie – i potrzeba było komputerów, pozyskujących dane za pomocą instrumentów, aby ogarnąć sposób namierzania gwiazd i przekształcić trzy namiary w pozycję statku.

Jeśli dowody dostarczane przez jego radio były sprzeczne ze zdrowym rozsądkiem, zdrowy rozsądek był w błędzie. Może trudno było uwierzyć w to, co sugeruje przekaz radiowy; ale nie trzeba było „wierzyć”, tylko działać.

McCray wcisnął palcem przycisk nadajnika i zwięźle przedstawił swoją sytuację i domysły.

— Nie wiem, jak się tutaj dostałem. Nie wiem, jak dawno temu zniknąłem, ponieważ przez pewien czas byłem nieprzytomny. Jeśli jednak opóźnienie transmisji jest wiarygodnym wskaźnikiem... — przełknął ślinę i kontynuował... — oceniałbym, że jestem teraz w odległości ponad pięciuset lat świetlnych od was. To wszystko, co mam do powiedzenia, z wyjątkiem jednego słowa: Pomocy.

Uśmiechnął się kwaśno i puścił guzik. Wiadomość była w drodze i minie wiele godzin, zanim będzie mógł otrzymać na nią odpowiedź. Dlatego musiał się zastanowić, co dalej.

Otarł czoło. Po tętniącym, powtarzającym się wywołaniu ze statku, które w końcu ucichło, w pomieszczeniu znów zrobiło się cicho. I ciepło.

Bardzo ciepło, pomyślał leniwie; i jeszcze coś. Halogenowy smród znów zaatakował mocno jego nos.

Pospiesznie McCray wszedł do skafandra. Zanim zdążył go zamknąć, już mocno kaszłał z głębi płuc, były to głębokie, rozdzierające spazmy, sprawiające mu ból, niekontrolowane. Chlor lub fluor, jeden z tych gazów znalazł się w powietrzu, którym oddychał. Nie potrafił powiedzieć, skąd się wziął; ale rozrywał mu płuca.

Przewentylował wnętrze skafandra nie bacząc na to że marnuje swoje rezerwy powietrza, wstrzymując oddech tak bardzo, jak mógł, odważając się jedynie na płytkie odetchnięcia, które i tak powodowały, że kaszłał i

wymiotował. Po dłuższym czasie mógł w końcu oddychać, choć łyzy płynęły mu z oczu.

Widział teraz wiszące w pomieszczeniu opary. Robiło się coraz bardziej gorąco.

Automatycznie – teraz, kiedy go włożył i zaczęły działać jego serwo-obwody – skafander zaczął go chłodzić. Był to skafander do pracy w otwartym kosmosie, ubiór regulacyjny, służący mu, gdy wychodził poza ciśnieniowy kadłub statku Szybszego-Niż-Światło. Działał dobrze do co najmniej pięciuset stopni w rzadkim powietrzu i może trzystu - czterystu w powietrzu gęstym. Gdy gorąco wzrastało zbyt mocno, w rzadkim powietrzu lub w kosmosie ulegały depolimeryzacji elastyczne połączenia i złącza; w gęstym powietrzu, gdy przewodnictwo cieplne przenosiło energię szybciej, niż cewki oziębiające były w stanie ją odprowadzić i wydalić, psuły się aparaty chłodzące.

McCray nie miał pojęcia, jak gorąco się robi. Co więcej, skafander nie był zbudowany do działania w środowisku korozyjnym.

W sumie nadszedł czas, żeby coś zrobić.

Przypomniawszy sobie, że wśród rupieci na podłodze leżał kosmiczny toporek o długości pięciu stóp, ostrze ze stali wolframowej na sprężystym aluminiowym trzonku.

McCray chwycił go i skierował się do drzwi. Leżał mu dobrze w rękawicy, stanowił bardzo satysfakcjonujący ciężar; każda broń prostuje kark człowiekowi, który ją trzyma, i McCray był za to wdzięczny. Mając coś konkretnego do zrobienia, mógł odłożyć na bok pytania. Nieważne, dlaczego go tutaj sprowadzono; nieważne jak. Nieważne, co powinien lub mógł, zrobić dalej; wszystkie te pytania mogły zniknąć w głębi umysłu, kiedy zaczął machać toporkiem i wyrąbywać sobie drogę z tego zatrutego piekarnika.

Łup-trzask! Podwójne wstrząsy przebiegały po trzonku, dalej przez rękawice docierały do ręki; ale robił postępy, widział to po plastiku – lub cokolwiek to był za materiał – drzwi. Rozpadały się. Niełatwo, z dużym oporem; ale łuszczyły się wiórami, które pozostawiały resztki w formie białego proszku.

W takim tempie, pomyślał ponuro, minie godzina. Czy miał godzinę?

Jednak nie zajęło mu to całej godziny. Jeden cios był bardziej szczęśliwy niż inne; musiał rozbić mechanizm zamka. Drzwi zatrzęsły się i uchyliły. McCray wsunął cienkie ostrze w szczelinę i otworzył je szeroko.

Znalazł w innym pomieszczeniu, może w korytarzu, dużym i pustym.

McCray oparł całymi plecami o połamane drzwi i docisnął je tak mocno, jak tylko mógł; może nie utrzymają one gazu i gorąca w środku, ale opóźnią je.

Pomieszczenie także było nieoświetlone – przynajmniej w oczach McCraya. Nie było nawet tego różowego pseudo-światła, które tak go przedtem zaskoczyło; jedyne światło dawał tylko promień reflektora jego skafandra. To, co pokazywał, było bardzo tajemnicze. Widać było dowody

użytkowania tego miejsca: półki, elementy podobne do skrzyń, które mogły być wykorzystywane jako szafki, proste płaskie powierzchnie przymocowane do ścian, mogące służyć jako stoły warsztatowe. A jednak były one tak dziwnie pomyślane, że nie można było na ich podstawie zbyt wiele powiedzieć o stworzeniach, które z nich korzystały. Niektóre znajdowały się nisko nad podłogą, inne na wysokości talii, a jeszcze inne nawet wisiały pod sufitem. Człowiek potrzebowałby drabiny do pracy na tych stołach i McCray, przypatrując się im, pomyślał przez chwilę o wielorękich ślepych olbrzymach lub bezkształtnych, ogromnych, inteligentnych amebach, i poczuł, jak po skórze na karku przechodzi mu zimny dreszcz.

Puknął bez przekonania w jedną z zamkniętych szafek i nie zdziwił się, gdy okazała się równie oporna jak drzwi. Niewątpliwie dałby radę ją otworzyć, ale było raczej mało prawdopodobne, aby z jej zawartości pozostało zbyt wiele; no i była jeszcze kwestia czasu.

Jego uwagę przyciągnął, jednak, błysk z jednym ze stołów. Leżał na nim stos metalowych elementów. Szturchnął je usztywnionym palcem rękawicy; wydawały się dziwnie znajome. Były, pomyślał, bardzo podobne do części broni palnej.

I rzeczywiście, tak było. Rozpoznał lufę, komorę nabojołą, spust, a nawet kilka nabojów, starannie pootwieranych, z ziarenkami prochu zebranymi w stosik obok nich. Był to starszy, bardziej prymitywny model niż ten, który widział w szafce alarmowej na *Jodrell Bank* – i nagle pożałował, że nie ma go teraz przy sobie – ale był to pistolet. Kolejne trofeum, jak ten dziwny zestaw rzeczy, w tamtym pomieszczeniu? Trudno powiedzieć. Ale tamte były znacznie bardziej znajome; wszystkie pochodziły z jego własnego statku. Był gotów przysiąc, że niczego takiego jak ten antyk, nie było na pokładzie.

Znowu w jego uchu rozpoczęło się tętnienie, podobnie jak do tej pory, pojawiające się w pięciominutowych odstępach

— Herrell McCray, Herrell McCray, Herrell McCray, tu *Jodrell Bank* wzywa Herrella McCraya...”

I nagle głośny, ogłuszający, potem opadający do normalnego poziomu głośności, gdy obwody AVC stonowały sygnał, inny głos. Kobięcy głos, krzyczący w panice i strachu:

— *Jodrell Bank*! Gdzie jesteście? Na pomoc!

IV

Zastępca Hatchera powiedział:

— Przeszedł pierwszy test przetrwania. Prawdę mówiąc, udało mu się uciec! Co dalej?

— Czekać! — rozkazał ostro Hatcher.

Obserwował nowy okaz i przyszła mu do głowy kłopotliwa myśl. Ten nowy, była to kobieta i coś wydawało się ją boleć; ale to nie ból niepokoił

Hatchera, było to coś znacznie bardziej bezpośredniego dla jego zainteresowań.

— Myślę — stwierdził powoli - że oni są w kontakcie.

Jego asystent zawibrował zdziwienie.

— Wiem — przyznał Hatcher — ale patrz. Widzisz? Idzie prosto w jej stronę.

Hatcher, nie będąc człowiekiem, nie posiadał prawdziwie ludzkich emocji; ale czuł zdumienie, gdy był zdumiony, i strach, gdy trzeba było się bać. Te okazy, zdobyte z taką trudnością, były tak bardzo potrzebne; to on był za nie odpowiedzialny. Znał wszystkie kwestie z tym związane o wiele lepiej niż którykolwiek z jego pomocników. Mogli tylko być zaskoczeni dziwacznym wybrykiem natury: kosmitami z kończynami przymocowanymi do ciał i dziwnymi siłami do dyspozycji. Hatcher jednak wiedział, że to nie wystawa dziwadeł, ale sprawa życia i śmierci. Powiedział, zamyślony:

— Ten nowy, nie mogę się z nią porozumieć, ale słyszę ją – prawie – szept, od czasu do czasu. Ten pierwszy, mężczyzna, nic. Ale ta kobieta może nie jest całkiem niema.

— Czy więc zostawimy go i będziemy pracować z nią, zapominając o pierwszym?

Hatcher zawahał się.

— Nie — powiedział w końcu. — Ten mężczyzna reaguje właściwie. Pamiętaj, że kiedy ostatnio przeprowadzony został ten eksperyment, wszystkie podmioty umarły; a on przynajmniej żyje. Ale zastanawiam się. Nie potrafimy w pełni komunikować się z kobietą...

— Ale?

— Ale nie jestem pewien, czy inni nie potrafią.

Głos kobiety dobiegał z tak bliska, że radio skafandra McCraya stanowiło przydatny radionamiernik. Z łatwością zlokalizował kierunek z którego dobiegał sygnał, ekranując małą wbudowaną antenę ostrzem toporka ze stali wolframowej, podczas gdy kobieta błagała go, aby się pospieszył. Jej głos miał mocny akcent, a niektóre słowa padały w języku, którego nie rozpoznawał. Wydawała się być w szoku.

McCray nie był tym specjalnie zaskoczony; był wystarczająco blisko niej, aby samemu być w szoku. Próbował ją uspokoić, szukając wyjścia z korytarza, ale w środku słowa jej głos nagle ucichł.

Wahał się, unosząc toporek i zerkając na drogę, którą przybył. Musiał znaleźć jakieś wyjście stąd, nawet jeśli oznaczało to przerąbanie się przez ścianę.

Kiedy znowu się odwrócił, były tam drzwi. Miały dziwny kształt i były niepodobne do drzwi, przez które się przerąbał, ale ewidentnie były to drzwi i były one otwarte.

McCray popatrzył na nie ponuro. Przeszukiwał zawartość swojej pamięci, z pieczołowitą starannością. Czyż nie patrzył na to miejsce kilka chwil wcześniej? Tak. I czy wtedy w tym miejscu były jakieś otwarte

drzwi? Nie było. Nie było nawet śladu trójkątnego, nierównego otworu, który teraz tam się znajdował.

Mimo to przejście prowadziło we właściwym kierunku. McCray dodał jeszcze jeden niewytłumaczalny fakt do swoich zbiorów i przeszedł przez otwór. Znalazł się w jakimś innym korytarzu – lub tunelu – wznoszącym się dosyć stromo w prawą stronę. Zgodnie z jego wyliczeniami, był to właściwy kierunek. Ruszył więc w tamtą stronę, pocąc się pod ciężarem skafandra, i znalazł kolejne otwarte drzwi, tym razem – okrągłe, a za nimi...

Tak, to była kobieta, której głos słyszał.

Była to kobieta, rzeczywiście. Odbierany głos był tak zniekształcony przez napięcie nerwowe, że nie był do końca pewien. Nawet teraz krótkie czarne włosy może tego nie dowodziły, a ona leżała twarzą w dół, ale talia i biodra były wyraźnie kobiece, mimo że miała na sobie obszerny, pikowany kombinezon.

Ukląkł koło niej i delikatnie odwrócił jej twarz.

Była nieprzytomna. Szeroka, ciemna twarz, bez makijażu; najwyraźniej była już sporo po trzydziestce. Wyglądała na Chinkę.

Oddychała nieco nierówno, ale bez widocznych problemów; jej twarz była odprężona, jakby spała. Nie obudziła się, kiedy ją poruszył.

Uświadomił sobie, że oddychała powietrzem z pomieszczenia w którym się znajdowali.

W pierwszej chwili pomyślał, że grozi jej uduszenie; miał już się zerwać, złapać ją, i włożyć do małego, lekkiego skafandra kosmicznego, który widział, rzucony w kącie. W kolejnej chwili zdał sobie sprawę, że nie oddychałaby tak swobodnie, gdyby to powietrze było wypełnione trującym gazem, który wygonił go z pierwszego pomieszczenia.

Można było z tego wyciągnąć oczywisty wniosek; chyba powinien zacząć oszczędzać własne rezerwy powietrza. Ostrożnie rozszczelnił płytę czołową hełmu i wziął leciutki oddech. Słaby zapach halogenu wciąż był obecny, jednak nie był na tyle silny aby wywołać łzawienie oczu, a temperatura powietrza była przyjemnie ciepła.

Potrząsnął nią, lecz się nie obudziła.

Wstał i popatrzył na nią w zamyśleniu. To było rozczarowanie. Jej głos dał mu nadzieję na towarzystwo, na kogoś z kim mógłby porozmawiać, porównać spostrzeżenia – kogoś, kto, jeśli nawet nie potrafiłby odpowiedzieć na więcej pytań niż on sam, mógłby przynajmniej posłużyć jako towarzysz do wymiany zdań w swobodnej dyskusji, która pomagałaby wyciągnąć jakieś sensowne wnioski z tych przepełniających to miejsce dziwactw.

Zamiast tego spadło mu na barki kolejne brzemie, ponieważ nie była w stanie sama zatroszczyć się o siebie i na pewno nie mógł jej zostawić w takim stanie.

Z roztargnieniem zsunął z głowy hełm i nacisnął przyciski wyłączające chłodzenie skafandra, rozglądając się po pomieszczeniu. Było puste, z

wyjątkiem porzucanych nieistotnych ludzkich przedmiotów – podobnie jak to, w którym on sam się pojawił, tyle że przedmioty te nie pochodziły z *Jodrell Bank*. Mata upleciona z trzciny, parę przyborów kuchennych, maszyna podobna do kalkulatora biurkowego, kilka książek – podniósł jedną z nich i rzucił na nią okiem. Wydrukowana na grubym papierze, a tekst składał się z ideogramów, być może chińskich; nie znał języków orientalnych.

McCray wiedział, że *Jodrell Bank* nie był jedynym statkiem nadświetlnym w tej części kosmosu. Trasa na Betelgeuse była ruchliwa, ponieważ prowadziło nią wiele nadświetlnych szlaków żeglugowych. Prawie codzienne były loty z jakiegoś punktu na Ziemi do jednej z kolonii, przy podobnym ruchu w przeciwnym kierunku.

Oczywiście, jeśli opóźnienie w łączności nie kłamało, musiał być już w zupełnie innej części nieba; Betelgeuse znajdowało się zaledwie kilkaset lat świetlnych od Sol, a podprzestrzenna transmisja radiowa pokonywała tę odległość w czasie około pięćdziesięciu minut. Przypuśćmy więc, że ta kobieta pochodzi z jakiegoś innego statku; być może był to statek z Singapuru lub Tokio, na tej samej trasie. Mogła łatwo wpaść w pułapkę, tak samo jak i on. A jeśli się obudzi, może mu powiedzieć, co się wydarzyło, i dzięki temu dowie się czegoś, co może być przydatne.

Chociaż trudno było określić, co się może przydać w tych bardzo niespotykanych i dosyć nieprzyjemnych okolicznościach.

Brzęczenie z *Jodrell Bank* zaczęło się od nowa:

— Herrell McCray, Herrell McCray, Herrell McCray, tu odpowiada *Jodrell Bank*...

Zmniejszył głośność, ale nie odważył się zupełnie go wyciszyć. Stracił poczucie czasu i nie mógł obliczyć, kiedy odpowiedzą na jego ostatnią wiadomość. Musiał usłyszeć tę odpowiedź, kiedy się pojawi. A tymczasem, co z jego współwzięciem?

Jej skafander był to tylko lekki, ogólny model, równie szczelny jak jego, ale bez usztywnienia wymaganego do wbudowania w niego pędników odrzutowych. Zawierał spore rezerwy powietrza i ograniczone wody; ale ani żywności, ani środków ratownictwa medycznego.

McCray oczywiście miał obie te rzeczy. Był to jeszcze jeden powód, dla którego nie mógł jej porzucić i kontynuować... to znaczy, gdyby mógł znaleźć jakiś powód, aby pójść w jakimś kierunku, a nie w innym, i jeśli ściany byłyby takie uprzejme aby otworzyć się tak, by pozwolić mu tam pójść.

Mógł zrobić jej zastrzyk ze stymulantu, zastanawiał się. Czy to poprawiłoby sytuację? Nie jakoś poważnie, zdecydował z pewnym żalem. Sen był dla niej potrzebą, a nie luksusem; nic by nie dało budzenie jej chemicznie, kiedy ciało demonstrowało tak silną potrzebę odpoczynku, odmawiając obudzenia się na wezwanie. W każdym razie, jeśli nie odniosła poważnych obrażeń, niewątpliwie wkrótce sama się obudzi.

Sprawdził jej puls i reakcję źrenic oczu; wszystko normalne, brak śladów krwawienia lub szoku somatycznego.

Na razie, tyle. Przynajmniej podjął jakąś prostą decyzję sam z siebie, pomyślał z ponurym humorem. Do pewnego stopnia przywrócił sobie panowanie nad własnym losem i dzięki temu poczuł się lepiej.

Być może, mógłby zrobić coś więcej. A co na przykład, ze znalezieniem wyjścia z tego miejsca?

Było wysoce prawdopodobne, że nie będą mogli pozostawać tutaj w nieskończoność, to był pierwszy fakt, który należało wziąć pod uwagę. Albo jego wyobraźnia była przewrażliwiona, albo zapach halogenu robił się nieco silniejszy. W każdym razie nie było żadnej gwarancji, że to miejsce pozostanie zdatne do życia dłużej niż poprzednie, a musiał przecież liczyć się ze świadomością, iż rezerwa powietrzna skafandra kosmicznego nie jest nieskończona. Ten labirynt mógł się okazać śmiertelną pułapką.

McCray odepchnął od siebie te myśli, opierając się o obuch toporka, zastanawiając się, ile w nich było rozsądku, a ile paniki. Wiedział, że najbardziej w świecie chciałby wydostać się z tego miejsca, zobaczyć niebo i gwiazdy, znaleźć się w miejscu, gdzie żadne stworzenia kryjące się za fałszywymi panelami w ścianach lub spoglądające przez ukryte w meblach wizory, nie będą mogły go oszukiwać i więzić. Ale czy miał jakieś powody, by wierzyć, że ucieczka stąd w inne miejsce będzie dobrym rozwiązaniem? Czy może czasami nie było tak, że to miejsce stanowiło rodzaj wiwarium stworzonego dla jego przetrwania – że wyciek trujących gazów i gorąca, w pierwszym pomieszczeniu, nie był umyślnym zamachem na jego bezpieczeństwo, ale awarią osłony, która była niezbędna aby utrzymywać go przy życiu?

Nie wiedział i z natury rzeczy nie mógł tego wiedzieć. Paradoksalnie jednak, myśl że ucieczka może narazić go na jeszcze większe niebezpieczeństwo, sprawiła, że jeszcze bardziej tej ucieczki pragnął. Chciał wiedzieć. Jeśli poza jego komnatą czekała na niego śmierć, McCray chciał stawić jej czoła – teraz – kiedy był jeszcze w dobrej formie fizycznej.

Dopóki jeszcze zachowywał zdrowie psychiczne. Ponieważ istniały ograniczenia dla liczby zjawisk, jakie był w stanie zepchnąć w głąb umysłu; prędzej czy później trzeba będzie stawić czoła tym wszystkim sprzecznościom, zagadkom, obawom.

Ale co zrobić z tą kobietą? Możliwe, że mógłby ją nieść; ale czy byłby w stanie dźwigać także jej skafander? Nie śmiał jej bez niego zabrać. Nie byłoby dobrze znaleźć się w trującej atmosferze i patrzeć jak ona umiera, ponieważ zabrał ją z jedyne miejsca dającego jej nadzieję na bezpieczeństwo. Ale jej skafander ważył co najmniej pięćdziesiąt funtów. Jego własny był nieco cięższy; dziewczyna, powiedzmy, ważyła sto trzydzieści. Składało się to na większą masę, niż był w stanie unieść, przynajmniej na odległość większą, niż kilkadziesiąt metrów.

Głos w hełmie powiedział nagle:

— Herrell McCray, tu mówi *Jodrell Bank*. Twoja transmisja została odebrana. Wektoryzujemy i namierzamy twój sygnał. Czekaj. Połączymy

się ponownie za dziesięć minut. — I innym tonem: — Niech Bóg ci pomoże, Mac. Do diabła, co się z tobą stało?

To było dobre pytanie. McCray zaklął bezradnie, ponieważ nie znał na nie odpowiedzi.

Pozwolił sobie na chwilę cierpkiej przyjemności, wyobrażając sobie co się teraz musiało dziać na pokładzie *Jodrell Bank*. Przynajmniej nie tylko on przeżywał chwile oszołomienia. Musieli być zupełnie zaskoczeni. Z ich strony wyglądało to, że ich nawigator w jednej chwili był na mostku, a w następnej zniknął bez śladu. To samo w sobie było sporą łamigłówką; jedynym sposobem na ucieczkę ze statku nadświatelnego w locie, było rozwiązanie nazywane „samobójstwem”. Takie pewnie przyjęli założenie, skoro tylko zdali sobie sprawę, że go nie ma, i sprawdzili statek, aby upewnić się, że z jakiegoś powodu nie błąka się gdzieś po ładowniach lub nie leży nieprzytomny w szafie, po jakimś trudnym do wyobrażenia ataku ze strony innego członka załogi. Pomyśleli, że jakoś, w przypływie szaleństwa, musiał założyć skafander – skafandra również przecież brakowało – i wyskoczył ze śluzy. Jednak nie było mowy o powrocie, aby go szukać. To prawda, mogliby wysledzić jego radio podprzestrzenne, gdyby z niego korzystał. Ale co by im to dało? Podstawowym pytaniem, niemal niemożliwym do odpowiedzi, byłoby to, jak dawno temu wyskoczył. Nawet gdyby jakoś się tego dowiedzieli, *Jodrell Bank*, lecący z szybkością ponad pięćset razy większą od prędkości światła, nie był w stanie zatrzymać się na odcinku krótszym niż kilkanaście lat świetlnych. Nie mogli mieć nadziei, że choćby w przybliżeniu powrócą do miejsca w przestrzeni, w którym mógł wyskoczyć; i nie było możliwości że dotrą do tego punktu, zatrzymają się, rozejrzą i wystartują dalej – przyspieszenia były zbyt ogromne, a człowiek zbyt mały, jak pyłek.

No i przede wszystkim, oczywiście, byłby już martwy. Przejście z napędu nadświatelnego do normalnej przestrzeni kończyło się natychmiastową śmiercią, chyba że miało miejsce w obrębie tarczy ochronnej silników statku.

A więc, już dawno musieli go już poświęcić, i nagle, po kilku godzinach – a może dniach, ponieważ stracił poczucie czasu – otrzymali jego przesłanie. Jak mogli na nie zareagować?

Nie wiedział. W końcu nie za bardzo wiedział, jak on sam by zareagował.

Kobieta ciągle spała. Droga powrotna była wciąż otwarta. Wąchając powietrze, mógł stwierdzić, że stężenie trucizn w atmosferze wciąż się zwiększa. Z przodu były tylko puste ściany, a podłogę zaśmiecła sterta niepotrzebnego sprzętu. Zdecydowanie McCray wyrzucił z głowy wszystkie myśli i czekał.

W końcu sygnał nadszedł.

— Mac, zweryfikowaliśmy twoją pozycję. — Głos brzmiał jak kapitana Tillingera; był pełen napięcia i drżący. — Nie wiem, jak się tam dostałeś, ale jeżeli odczyty nie kłamią, to jesteś cholerny kawał drogi od nas. Namiar kierunku jest identyczny z obiektem Messier M-42, a odległość... — z wahaniem — jest porównywalna. Tysiąc lat świetlnych od nas, Mac. W taki czy inny sposób zostałeś porwany. Ja... ja...

Głos zawahał się, nie mogąc powiedzieć tego, czego nie był w stanie zaakceptować, ale czemu nie mógł zaprzeczyć.

— Myślę — wreszcie udało mu się powiedzieć, — że w końcu natknęliśmy się w kosmosie na te super-istoty, o których zawsze dyskutowaliśmy.

Odlączone kończyny Hatchera drżały z podniecenia – i z czegoś więcej niż podniecenie, ponieważ czuł także strach. Próbował ukryć przed innymi, jak bardzo się bał.

Jego zastępca zameldował:

— Drugi podmiot jest nieprzytomny. Jak długo chcesz, żebyśmy ją tak trzymali?

— Dopóki ci nie powiem inaczej! A co z podmiotem podstawowym?

— Nie potrafimy powiedzieć, Hatcher. Ale miałeś rację. Wygląda na to, że komunikuje się z innymi i to w sposób paranormalny. — Hatcher zauważył przerażenie słowach swojego asystenta. Całkiem nieźle rozumiał to przerażenie. Praca nad projektem wykorzystującym siły paranormalne jako nad ćwiczeniem teoretycznym, była jedną sprawą. Zobaczyć je w działaniu, było czymś zupełnie innym.

Ale było znacznie więcej powodów do niepokoju i tylko Hatcher wiedział, jak bardzo zła jest sytuacja. Wezwał do siebie jeden ze własnych członków i odcisnął w nim sprawozdanie z postępów prac, dla Rady. Wysłał go aby poleciał przez długi labirynt świata jego ludu, polecił swoim asystentom wracać do pracy i zamyślił się, próbując zastanowić się nad tym, co się wydarzyło.

Te dwa stworzenia, mając do swej dyspozycji siły w paranormalnym – tj. elektromagnetycznym – spektrum, wydawały się być w stanie przetrwać w przygotowanych dla nich środowiskach. To był krok pierwszy. Żaden z poprzednich zespołów nie poradził sobie równie dobrze. To nie był pierwszy przypadek, kiedy zespół jego sond pochwycił na badania ciepłokrwistego dwunoga ze statku kosmicznego – ponieważ ich siły operacyjne, z natury psioniczne, działały w sposób nieeuklidesowy, najłatwiej było im nawiązać kontakt z załogą statku w nieeuklidesowej przestrzeni napędu nadświatelnego.

Ale po raz pierwszy, okazy przetrwały. Przejrzał prace, które już wykonali z okazem męskim. Okazało się, że nie jest w stanie przeżyć w normalnych warunkach atmosferycznych świata Hatcher; ale w końcu należało się tego spodziewać, a stworzenie szybko i w godny pochwały sposób, wydostało się ze złego środowiska. Hatcher przyznał, że zapewne popełnili błąd oświetlając dla niego pomieszczenie. Nie wiedział, jak bardzo się pomylili, ponieważ pojęcie „światła” z ogólnego źródła, oświecającego nie tylko to, co umysł chciał zobaczyć, ale także materię nieistotną, nigdy by nie przyszło do głowy Hatcherowi, ani nikomu z jego rasy; wszystkie ich zmysły działały przez sam umysł, a to, co dla nich było „światłem”, było rodzajem skupienia uwagi. Ale chociaż w tym epizodzie, którego Hatcher nie był w stanie zrozumieć, coś poszło nie tak, okaz nie

został w jego wyniku poważnie uszkodzony. Okaz miał się dobrze. Prawdopodobnie mogliby teraz przejść do najtrudniejszego testu, który oznaczałby sukces lub porażkę. Prawdopodobnie byłoby w stanie tak zmodyfikować stworzenie, aby umożliwić bezpośrednią z nim komunikację.

A drugi okaz?

Hatcher zmarszczyłby brwi, gdyby miał mięśnie brwi mogące ukształtować taki wyraz twarzy – no i brwi, które można by było zmarszczyć. Problemem był żeński okaz. Jego lud wiedział, jak chronić swoje myśli. Ten najwyraźniej, nie. Zdziwiałoby było to, że Pradawni nie spotkali się już z tymi dwunogami, tak słabo strzeżone było ich promieniowanie – oczywiście kiedy w ogóle promieniowały, bo tylko nieliczne z nich zdawały się mieć jakąkolwiek moc psioniczną, wartą wzmianki.

Hatcher pospiesznie wyrzucił tę myśl z głowy, ponieważ właśnie zaproponował aby męski okaz w tę moc wyposażać.

A jednak rodacy Hachera nie mieli wyboru, ponieważ stanęli w obliczu katastrofy. Hatcher dzięki swoim wiadomościom od Rady wiedział, jak blisko tej katastrofy byli. Kiedy zniknął jeden z sondujących z zespołu Mas Centralnych, jedyny wniosek, jaki można było z tego wyciągnąć, to fakt, że Pradawni ich odkryli. Potrzebowali więc sojuszników; ponadto potrzebowali sojuszników, posiadających kontrolę nad siłami elektromagnetycznymi, które sprawiały, że Pradawni byli tacy potężni i tak się ich wszyscy bali.

W mężczyźnie i kobiecie porwanych z kosmosu, mogli znaleźć tych sprzymierzeńców. Ale w głowie Hachera pojawiła się inna myśl: przypuśćmy, że Pradawni też ich znaleźli?

Hatcher podjął decyzję. Nie mógł już dłużej zwlekać.

— Otwórz drogę na powierzchnię — rozkazał. — Jak najszybciej zabierzcie ich oboje do miejsca, w którym będziemy mogli pracować.

Obiekt, który kapitan Tillinger nazwał „M-42”, nie był Herrellowi McCrayowi obcy. Była to Wielka Mgławica w Orionie, w teleskopach na Ziemi widoczna jako zamazana plama światła, w rzeczywistości zimna, wielka i świecąca chmura gazu. M-42 nie była zewnętrzną galaktyką, jak większość „mgławic” w katalogu Messiera, ale nie była też tak mała jak pojedyncza gwiazda. Masa skupionego w niej wodoru obejmowała dziesiątki lat świetlnych. W jej głębi – rosnąc w niej, jako że żywiły się otaczającym je gazem – znajdowało się dziesiątki gorących, jasnych, młodych gwiazd.

Młode gwiazdy. Ze wszystkich otaczających go sprzeczności McCray poświęcił czas na rozważenie tej konkretnej niezgodności. Gwiazdy w chmurze gazowej Oriona należały do klasy spektralnej zwanej „B” – młode gwiazdy, o mniej niż jednej tysięcznej wieku starzejącego się Sol. Po prostu nie istniały jeszcze wystarczająco długo, aby posiadać stabilne układy planetarne – a tym bardziej planety, które same były wystarczająco stare, aby się ochłodzić, wytworzyć złożone związki

chemiczne, i tym samym stworzyć życie. Ale on z pewnością był na planecie...

Czy na pewno?

McCray głęboko westchnął i po raz kolejny wyrzucił z głowy nic nie przynoszące spekulacje. Kobieta poruszyła się lekko. McCray uklęknął, aby na nią popatrzeć; potem, pod wpływem impulsu, otworzył swój zestaw medyczny, wyjął kapsułkę zastrzyku pobudzającego i wstrzyknął ją starannie w odsłoniętą żyłę na jej ramieniu.

Za około dwie minuty powinna się obudzić. Niech będzie, pomyślał McCray; przynajmniej będzie miał z kim porozmawiać. Teraz, gdyby tylko udało się znaleźć wyjście z tego miejsca. Jeśli otworzą się jakieś drzwi, tak jak tamte, i...

Urwał, wpatrując się z niedowierzaniem.

Pojawiły się kolejne drzwi. Otwarte.

Poczuł, że się kołysze, wyrzucił ręce na boki i zdał sobie sprawę, że... spada? Unosił się? Jakoś zbliżał się coraz bardziej do drzwi, nie tak, jakby go ciągnięto, nie tak, jakby szedł, ale pewnie i dość energicznie.

Jego stopy nie dotykały ziemi.

Nie było w tym jego woli. Jego zamiary nie miały z tym nic wspólnego. Machnął ręką i niczego nie dotknął; w ogóle nie zwolnił tempa poruszania się. Walczył z tym instynktownie; a potem rozum przejął władzę i zatrzymał się.

Ciało kobiety uniosło się przed nim z podłogi. Nadal była nieprzytomna. Z mnóstwa rzeczy na podłodze również uniósł się także jej lekki skafander kosmiczny; skafander i dziewczyna, przepłynęły przed nim, w kierunku drzwi i wyleciały na zewnątrz.

McCray krzyknął i próbował za nimi pobiec. Zaczął wymachiwać nogami i, oczywiście, niczego nie mógł dotknąć; ale zdawało się, że porusza się szybciej. Kobieta i kombinezon już zniknęły za zakrętem, lecz on był tuż za nimi.

Uświadomił sobie powracający odór gazów. Zamknął płytę hełmu i rzucił się na dziewczynę, w cudowny sposób złapał ją jedną ręką, a wyciągając drugą rękę jak tylko mógł, złapał nią jej skafander.

Wsadzenie jej do skafandra stanowiło ciężką, niezręczną pracę, jak ubieranie lalki, która jest za duża na swoje ubranka; ale poradził sobie, zamknął hełm i zobaczył, jak elastyczne części jej skafandra lekko się wybrzuszą, gdy automatyczne regulatory ciśnienia napełniły go powietrzem.

Poruszali się coraz szybciej, aż dotarli do wielkiego portalu i wypłynęli na oślepiający blask nieba w kolorze roztopionej miedzi.

Zgromadzonych w krąg, czekało na nich kilkadziesiąt istot z rasy Hatchera.

McCray oczywiście nie wiedział, że to istoty z rasy Hatchera. Nie wiedział nawet, że są żywe istoty, ponieważ brakowało im wszelkich cech zwierzęcych, do których był przyzwyczajony. Żadnych oczu. Żadnych

twarzy. Oddzielone członki, kołysząc się pozornie przypadkowo, nie zdradzały żadnego związku z nieregularnymi sferami, które były ich posiadaczami.

Kobieta stanęła chwiejnie na nogach, a jej panel czołowy wpatrywał się w stworzenia. McCray usłyszał w słuchawkach skafandra stłumiony okrzyk.

— Wszystko w porządku? — zaczął się ostro dopytywać. Wielkie kryształowe oko odwróciło się, aby na niego spojrzeć.

— Och, człowiek, który do mnie mówił. — w jej głosie słuchać było napięcie, ale była opanowana. Akcent zniknął; odzyskała w pełni kontrolę nad sobą. — Jestem Ann Mei-Ling z *Woomara*. Co to są... te?

McCray odparł:

— Chyba nasi porywacze. Nie wyglądają na takich, prawda?

Zaśmiała się drżąc, nic nie odpowiadając. McCray pomyślał, że te stworzenia chyba na coś czekają; jeśli to rzeczywiście były stworzenia, a nie maszyny lub... lub cokolwiek, czego można by się spodziewać, w takim nieprawdopodobnym przypadku, kiedy ktoś zostanie rzucony na niesamowitą planetę nieznanego gwiazdy. Pocieszająco dotknął hełmu kobiety i podszedł do obcych, unosząc dłonie.

— Witajcie — powiedział. — Jestem Herrell McCray.

Odczekał kilka chwil.

Na wpół się obrócił; kobieta go obserwowała.

— Nie wiem, co robić dalej — przyznał.

— Usiądź — powiedziała nagle. Wpatrywał się w nią. — Nie, musisz! Chcą, żebyś usiadł.

— Nie słyszałem... — zaczął, a potem wzruszył ramionami. Usiadł.

— Teraz połóż się, wyciągnij, i otwórz płytę hełmu.

— Tutaj? Posłuchaj... Ann... Panno Mei-Ling, czy jakkolwiek mówiłaś, że się nazywasz! Czy nie czujesz tego gorąca? Jeśli otworzę płytę...

— Ale musisz. — Mówiła z dużą pewnością. — To jest *s'in fo*... jak ty byś to nazwał... telepatia. Ale ja ich słyszę. Chcą, żebyś otworzył płytę czołową. Nie, to cię nie zabije. Wiedzą, co robią.

Zawahała się, po czym dodała, z mniejszą pewnością:

— Potrzebują nas, McCray. Jest coś... Nie jestem pewna, ale to coś złego. Potrzebują pomocy i myślą, że możesz im jej udzielić. Więc otwórz hełm, tak jak tego chcą, proszę.

McCray zamknął oczy i skrzywił się; ale nie było na to rady, nie miał lepszych pomysłów. Zresztą, pomyślał, będę mógł zamknąć go natychmiast, jeśli te stworzenia coś źle skalkulowały.

Stworzenia ruszyły prosto w stronę McCraya, i został uwięziony przez tuzin oddzielonych rąk. Zaskoczony walczył, lecz bez skutku; nie, nie był w stanie ponownie zamknąć płyty!... Ale gorąco nie pogorszyło się. Jakoś go przed nim chronili.

Drobny członek, podobny do jednego z oddzielonych ramion, ale znacznie mniejszy, wijący się w powietrzu w jego stronę, zawisł mu przed oczyma i wypuścił coś jeszcze cieńszego, coś tak małego i znajdującego się tak blisko, że McCray nie mógł na tym skupić wzroku. Poruszało się to prosto w stronę jego twarzy.

Kobieta mówiła, jakby do siebie:

— To czego się obawiają jest... bardzo daleko, ale... och, nie! Mój Boże!
Rozległ się okropny głośny wrzask, ale McCray nie był pewien, czy go słyszał. To mógł być jego własny krzyk, pomyślał szaleńczo; albowiem ta maleńka, unosząca się rzecz dotarła do jego twarzy i wkręciła się głęboko do środka; a ból, który temu towarzyszył, był nie do uwierzenia.

Ból był niesamowity. To było coś gorszego niż cokolwiek, co kiedykolwiek czuł, i narastało... a potem zniknęło.

Co ci sferoidalni kosmici zrobili z jego głową, McCray nie miał możliwości się dowiedzieć. Mógł się tylko zorientować, że zostały otwarte pewne drzwi. Został usunięty nieprzezroczysty ekran. Był wolny od swojego ciała.

Był więcej niż wolny, został rozszerzony – powiększony – rozrósł się. Był w ciele obcego, a obcy był w nim. Był także na zewnątrz ich obu, patrząc na nich z boku.

McCray nigdy w życiu nie czuł czegoś takiego. To była sytuacja bez żadnej bliskiej analogii. Mieć w ramionach kobietę, być częścią rodziny, dzielić młodzieńcze pragnienie eksploracji, które pojawia się w małych, grupach chętnych: oto porównania, które przyszły mu do głowy. To co się wydarzyło obecnie, było czymś o wiele większym niż którakolwiek z tych rzeczy. On i obcy – on i, zaczął postrzegać bardzo wielu obcych – byli niemal nierozzerwalnie złączeni. A jednak byli oni oddzielni, jak jedno włókno kolorowej nici w kłębku przędzy, choć zapętłone, splecione i skręcone ze wszystkimi pozostałymi włóknami, mimo wszystko zachowuje swoją integralność. Był w wielu umysłach i poza nimi wszystkimi. McCray pomyślał: Tak właśnie musi czuć się bóg.

V

Hatcher mógłby się roześmiać – gdyby tylko miał wargi, krtań lub usta, z których mógłby dobiegać śmiech. Śmiałby się z ogromnego uniesienia, a jego zastępca gapiłby się na marionetkę trzęsącą odłączonymi kończynami w okrzyku radości.

— Zrobiliśmy to! — zawołał asystent, chwytając jego zachwyt. — Sprawiliśmy, że projekt zadziałał!

— Zrobiliśmy o wiele więcej — cieszył się Hatcher. — Idź do przełożonych, zgłoś się do nich. Przekaż tę wiadomość do sondujących Masy Centralne. Utrzymaj dla obcej wartości ciśnienia i temperatury, jakie potrzebuje...

— A ty, Hatcher?

— Ja idę z nim – na zewnątrz! Pokażę mu, czego potrzebujemy!

Hatcher. McCray zorientował się, że to było imię – imię najbliższej istoty, tuż koło niego, która w jakiś sposób manipulowała jego przodomózgiem i uwolniła jego umysł z więzienia własnej głowy. „Hatcher” nie było to słowo, lecz obraz, a na tym obrazie widział stworzenie, którego fizyczny kształt nie był może przyjemny dla oka, ale którego instynkty i nadzieje były wystarczająco podobne do jego własnych, aby zapewnić wspólną płaszczyznę porozumienia.

Widział nawet więcej. Ten Hatcher usiłował go przekonać do kolejnego ruchu. Aby jeszcze bardziej zaryzykować. Udać się razem z nim...

McCray pozwolił się poprowadzić i natychmiast znalazł się na zewnątrz nie tylko własnego ciała, ale wszystkich ciał. Był zupełnie swobodny w kosmosie.

Istota, która zrodziła się z Herrella McCraya, była teraz większa niż słońce. Mógł podziwiać, wszędzie dookoła, cud i piękno wielkiej chmury gazu, w której spoczywało jego ciało, na małej planecie jakiejś trywialnej gwiazdy. Jego poczucie czasu nie zmieniło się w stosunku do tego, jakie było przedtem – mógł odliczać puls własnego ciała, wciąż tętniącego w, jakkolwiek odległym, ale należącym do niego uchu – widział jednak także rzeczy, które były straszliwie powolne i bardzo rozległe. Widział tarcie strumieni gazu w chmurze, gdy ciśnienie światła wypychało je na zewnątrz. Słyszał subtelne emisje jonu zderzającego się z innym jonem. Widział wielkie, nowe, niebieskie gwiazdy sunące przez chmurę, budujące swoją moc z rozproszonego, zanieczyszczonego wodoru, który tworzył mgławicę Oriona, pozostawiając za sobą stosunkowo czyste „dziury”. Mógł wejrzeć w gaz i patrzeć przez niego. Widział każdą gwiazdę i gazową kometę; mógł podziwiać uporządkowaną wspaniałość galaktyki gwiazd i wszechświata galaktyk, poza nią.

Obecność u jego boku, zachęcała go do spojrzenia dalej, w gęstszy, bogatszy obszar słońc. McCray, niepewny swoich mocy, wyciągnął się w tym kierunku – i odskoczył.

Było tam coś przerażającego, coś zimnego i niestrudzonego, co patrzyło, jak się do niego zbliża, wzrokiem skulonej pantery czekającej na jelenia.

McCray wiedział, że obecność obok niego czuła taką samą grozę. Był wdzięczny, gdy Hatcher pozwolił mu oderwać wzrok od centralnych gromad i powrócić do bezpośredniego sąsiedztwa swego ciała.

McCray mógł dostrzec planetę, którą opuścił, jak dziecięcą zabawkę w szkle pomniejszającym.

Tyle że to nie była planeta. To nie była planeta, ale wielka nieregularna sfera metalu, o strukturze plastra miodu, pocięta labiryntem korytarzy. Można by było pomyśleć, że to jest statek, choć ogromny, gdyby miał silniki lub urządzenia... Nie. To był statek. Hatcher u jego boku był dowodem, że te stworzenia nie potrzebowały urządzeń, przynajmniej w żadnym ziemskim sensie tego słowa. One same były silnikami, ze swą mocą przemieszczania materii w miejsca, pozostające poza oddziaływaniem innej materii. One same były urządzeniami, dzięki wyczuciu siły, które teraz znajdowało się także w jego mocy.

Chwila wahania i McCray trzymał „planetę” w dłoni – nie w prawdziwej dłoni, nie w prawdziwej ręce; ale była ona tam dostępna do dokładniejszego obejrzenia. Popatrzył na nią i wewnątrz niej, obejrzał w środku gniazda ludu Hatchera, znalazł pomieszczenie, do którego go sprowadzono, prześledził swoją trasę na powierzchnię, zobaczył własne ciało w skafandrze kosmicznym, zobaczył obok niego zwiotczały skafander utrzymujący w środku ciało dziwnej kobiety...

Skafander był pusty.

Skafander był pusty, a w chwili tego odkrycia McCray usłyszał okropny szloch – nie w uszach, lecz w umyśle – zebranych wokół niego obcych. Skafander był pusty. Odkryli to w tej samej chwili co on. Było to coś niewłaściwego i niebezpiecznego; byli przerażeni. Towarzysząca mu obecność wycofała się w pustkę. Po chwili McCray wrócił do swojego ciała, a członkowie zgromadzenia uwolnili go.

VI

Kilkaset lat świetlnych stąd *Jodrell Bank* nadrabiał stracony czas w trakcie rejsu na Betelgeuse.

Herrell McCray prześledził długą linię od Sol do Betelgeuse, nowymi zmysłami postrzegania, powodującymi że wzrok i dotyk przestały mieć większe znaczenie, dopóki go nie odnalazł. Olbrzymi statek, najszybszy i największy z międzygwiazdnych statków ludzkości, był dla niego ociężałym maleńkim chrząszczem.

Przewoził w środku przyjaciół i coś innego – coś, czego potrzebowało jego ciało – powietrze, wodę i jedzenie. McCray nie wiedział, co by się z nim stało, gdyby jego ciało umarło, kiedy umysł wędrował między gwiazdami. Nie miał jednak ochoty tego sprawdzać.

McCray nie próbował poruszyć swego fizycznego ciała, ale dzięki temu, co zostało zrobione w jego mózgu, mógł teraz zrobić to wszystko co potrafili rodacy Hatchera. Tak samo jak przenieśli go ze statku na planetę, mógł teraz przerzucić swoje ciało z powrotem z planety na statek. Napiął mięśnie umysłu, których nigdy wcześniej nie używał, i po chwili jego ciało opadło na podłogę bańki obserwacyjnej *Jodrell Bank*. Po chwili on sam znalazł się w ciele, otwierając oczy i spoglądając na zdumioną twarz Chrisa Stoerera, swojego młodszego nawigatora.

— Boże w niebiesiech — szepnął Stoerer. — To ty!

— Zgadza się — odparł ochryple McCray spieczonymi i popękanymi ustami, siadając i próbując mięśni ciała. Bolało. Był zmęczony do szpiku kości. — Pomóż mi zdjąć ten skafander, dobrze?

McCray rychło odkrył, że nie było łatwo być umysłem w ciele. Czas się dla niego zatrzymał. Błyskawicznie mknął po gwiazdnych trasach swoim uwolnionym umysłem; ale w czasie gdy jego umysł pozostawał wyzwolony, ciało, na „planecie” Hatchera, kontynuowało swój powolny metabolizm, ciągle pożeranie tkanek, nieunikniony postęp w kierunku śmierci. Kiedy do niego wrócił, stwierdził, że puls jest nieregularny, a

oddech nierówny. W żołądku skręcał go dotkliwy węzeł głodu. Bolały go mięśnie.

Cokolwiek miało się stać z jego umysłem, było jasne, że jego ciało umrze, jeśli pozostanie nieco dłużej bez opieki i pożywienia. Więc przeniósł je z powrotem na *Jodrell Bank*. Wstał i odsunął pytania Chrisa.

— Pozwól mi coś zjeść, a potem trochę się umyć — (Odkrył, że jego ciało śmierdzi.) — Wtedy powiem ci wszystko, co chcesz wiedzieć – ty, kapitan oraz wszyscy inni, którzy będą mieli ochotę mnie słuchać. Musimy też wysłać wiadomość na Ziemię, ponieważ to ważna rzecz... Ale proszę, chcę to wszystko mówić tylko raz.

Ponieważ – nie dodał – może nie będę miał czasu, aby to powtórzyć.

Gdyż te zimne i mordercze obecności w skupionych wewnętrznych gwiazdach, sięgnęły na zewnątrz tak swobodnie, jak niedźwiedź wyrzucający łosia z potoku i porwały nieznaną kobietę z planety Hachera. Mogły dotrzeć do dowolnego miejsca w galaktyce, do którego wędrowały ich myśli.

Mogły bez trudu podążać za nim tutaj.

Dobrze było znów być człowiekiem, i McCray zawył z bólu i radości, gdy lodowaty natrysk z prysznica oczyścił jego ciało. Pożerał ogromne talerze steków z ziemniakami, które stawiał przed nim kambuz, i pił na przemian kubkami zimne mleko i parującą czarną kawę. McCray pozwolił, aby go obejrzał lekarz statkowy i roześmiał się z wyrazu jego oczu.

— Wiem, że jestem trochę rozchwiany — powiedział. — To nie ma znaczenia, Doc. Możesz mnie umieścić w ambulatorium na tak długo, ile tylko zechcesz, kiedy już porozmawiam z kapitanem. Nie będę miał nic przeciwko temu. Widzisz, mnie tam nie będzie — i roześmiał się jeszcze głośniejsze, bez słowa wyjaśnienia.

Godzinę później, z wypełnionym jedzeniem żołądkiem i jakimś zastrzykiem od lekarza we krwi, aby oczyścić mózg, siedział w kabinie kapitana, próbując dobrać słowa, które nadadzą sens jego niesamowitej historii ośmiu (jak się dowiedział) dni, odkąd został porwany ze statku.

Patrząc na oficerów ze statku, dobrych przyjaciół, towarzyszy na kilkunastu urloпах planetarnych, McCray zaczął mówić, zająknął się i przez chwilę nie potrafił znaleźć słów. To było zbyt niewiarygodne. Jak mógł sprawić, by zrozumieli?

Musieli zrozumieć. Szalone czy nie, nawet najbardziej szalone fakty musiały im zostać wyjaśnione. Niezależnie jak dziwnie mogliby na niego patrzeć, byli inteligentnymi ludźmi. Będą się opierać, ale ostatecznie zrozumieją.

Rozwiązał swój problem, mówiąc im krótko i otwarcie o wszystkim, co się wydarzyło. Nie patrzył im w twarz i nie czekał na pytania. Opowiedział im o Hachery i o pomieszczeniu, w którym się obudził. Opowiedział o różowawym świetle, które pokazywało tylko to, na czym się skoncentrował – i wyjaśnił im to, ponieważ z początku sam tego nie rozumiał; o rasie Hachera i o tym, jak ich cały świat zmysłów zbudowany był z tego, co

ludzie nazywali ESP; że „światło” było dla nich jedynie skupieniem myśli, nie widzącej żadnych materialnych obiektów, na których nie byłaby skupiona. Opowiedział im o kobiecie z innego statku i okrutnym, chirurgicznym dotknięciu jego mózgu, które otworzyło przed nim wszechświat. Obiecał, że ten wszechświat otworzy się również i dla nich. Opowiedział im o śmiertelnym, niepoznawalnym niebezpieczeństwie dla rasy Hatchera – i dla nich również – które czeka w jądrze galaktyki. Opowiedział im, jak zniknęła kobieta, i powiedział, że nie żyje – z rąk Pradawnych, z Mas Centralnych – McCray wyjaśnił, że dla niej było to błogosławieństwem, i błogosławieństwem dla nich wszystkich; albowiem chociaż jej umysł ujawni niektóre ze swych tajemnic, nawet po śmierci, to gdyby żyła, zostałaby ich przewodnikiem, a Pradawni ruszyliby na nich.

Nie czekał, na ich reakcję.

Zwrócił się do lekarza statku.

— Doc, jestem teraz cały twój, ciało i dusza... stop. Po prostu ciało!

I zostawił ich, żeby znów unosić się w kosmosie.

Po krótkim czasie McCray zaczął myśleć o tym jako o życiu i swego rodzaju interregnum. Wystrzelił w górę i na zewnątrz, oglądając się za siebie, tylko po to by zobaczyć lekarza statku skaczącego do przodu, żeby złapać jego nieprzytomne ciało, kiedy upadało, a potem znów znalazł się w kosmosie między gwiazdami.

Tutaj, pomiędzy Sol i Betelgeuse, przestrzeń była czysta, twarda i zimna, bez żadnych rozproszonych chmur gazowych, bez nowych, rosnących gwiazd. „Spojrzał” na świat Hatchera, ale zawahał się i zastanowił.

Prędzej czy później będzie musiał jeszcze raz przyjrzeć się wrogiej obecności, jaka spoglądała na niego z Mas Centralnych. Równie dobrze może to być i teraz.

Wyłężając wszystkie zmysły, zanurkował w stronę serca galaktyki.

Prędkości myśli, były błyskawiczne nawet w porównaniu ze światłem. Umysł Herrella McCraya pokonał tysiące lat świetlnych w jednej chwili. Przeskoczył ruchomą pustkę między ramionami spiralnymi, rozciągnięte obłoki pyłu, wszedł w zwartą centralną sferę galaktyki, dla której ziemski sektor jest jedynie odległym i nieistotnym dodatkiem. Wielkie kuliste gromady gwiazdne tłoczyły się wokół wspólnego środka ciężkości. McCray zawęził się do perspektywy ludzkiego ciała i patrzył z podziwem. Sol ludzkości leży w cienkim, rozciągniętym ramieniu, rzadko wypełnionym jak na gwiazdne standardy: gdyby Ziemia krążyła wokół jednego z tych gęsto stłoczonych słońc, jakże inny obraz nieba mieliby przed oczyma pierwsi pasterze! Podczas gdy ludzkie oczy Ziemi mogą przy odrobinie szczęścia doliczyć się tysiąca gwiazd na zimowym niebie, tutaj były dziesiątki tysięcy, wystarczająco jasne, by grać rolę Syriusza lub Capelli na dnie słupa atmosfery podobnej do ziemskiej – dziesiątki miliardów gwiazd w sumie, wirowało blisko siebie, tak że gwiazda pozdrawiała gwiazdę z odległości niewiele większych niż planetarne. Najbliższa sąsiednia gwiazda

Sol, znajduje się w odległości czterech lat świetlnych. Żadna gwiazda w tej gęstej, wirującej masie centralnej nie była dalej niż jeden rok świetlny od swoich towarzyszek.

Były tu gwiazdy, które płonęły dojrzałym, stałym światłem, gdy Sol była dopiero kurczącą się masą wodoru – których planety ostygły i zrodziły życie, zanim wgłębienia Ziemi wypełniły się pierwszymi gorącymi kroplami wody, tworzącymi początki mórz.

Na tych starożytnych światach istniało życie.

McCray nie zrozumiał wszystkiego, co Hatcher próbował mu przekazać, ale wychwycił przerażenie w myślach Hachtera. Lud Hachtera uciekł od tych Pradawnych wiele tysiącleci wcześniej – uciekł i ukrył się w sercu chmury gazu Oriona, razem ze swoją planetą i wszystkim innym. Ale nawet tam nie byli bezpieczni. Wiedzieli, że z czasem wrogowie ich odnajdą. I właśnie ten strach doprowadził ich do porywania ludzi, w poszukiwaniu sojuszników na wojnie, której nie można było odłożyć na zawsze.

Lud Hachtera były to stworzenia myśli. Człowiek był władcą sił fizycznych – „paranormalnych” dla Hachtera, ponieważ teleportacja i widzenie umysłu były „paranormalne” dla McCraya. Pradawni opanowali obydwa.

McCray znalazł się na skraju gromady, czekając na dotyk pogardliwej nienawiści. Rozciągnął się i zwinął na tysiąc lat świetlnych, zanim zdołał się zatrzymać.

Walka z Pradawnymi nie będzie łatwą sprawą – jednak czas mógł działać na korzyść ludzkości. Już kontrolowali spektrum elektromagnetyczne, a synteza wodoru mogła dawać siły równe gwiazdym. Z pomocą Hachtera – i jego własną – człowiek mógłby uwolnić również swój umysł; i być może Pradawni staną wobec przeciwnika równie potężnego, jak oni sami.

Odleciał od Mas Centralnych, nie bojąc się już, i udał się na planetę Hachtera.

Zniknęła.

W wielkiej chmurze gazowej, drażące tunele błękitne gwiazdy, pochłaniały pasma wodoru, nie martwiąc się planetami. Same były za młode, by mieć trwałe satelity, adoptowana planeta Hachtera została z kolei usunięta, były więc same.

Zniknęła!

Przez chwilę ta myśl była podszyta paniką. McCray uświadomił sobie, co się stało. Największą nadzieją Hachtera było znalezienie innej rasy, która stanie między jego ludem a Pradawnymi. I znaleźli ją!

Teraz planeta Hachtera mogła znowu się ukryć i poczekać, aż bitwa zostanie stoczona dla nich, przez innych.

McCray uśmiechnął się cierpko, z twarzą o szerokości wieku lat świetlnych i mózgiem złożonym ze wzorów w eterze.

„Może dokonali właściwego wyboru” — pomyślał, zastanawiając się. —
Może tylko by przeszkadzali, kiedy nadejdzie ostateczne starcie.”

I jeszcze raz odszukał *Jodrell Bank* oraz swoje ciało, przygotowując się
aby powrócić do bycia człowiekiem... i nauczania swych ludzkich
współbraci, jak być bogami.

KONIEC